

Maciej Franz

W stepie szerokim - tam, gdzie
zaginął rozsądek - w odpowiedzi na
Dariusza Kołodziejczyka - „Jak
Kozacy państwo budowali, a Lachy
historię im pisali”

Przegląd Historyczny 99/3, 451-460

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

MACIEJ FRANZ

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza
Instytut Historii

W stepie szerokim — tam, gdzie zaginął rozsądek — w odpowiedzi na Dariusza Kołodziejczyka — „Jak Kozacy państwo budowali, a Lachy historię im pisali”*

Pojawienie się dyskusji w świecie historyków jest zawsze cenne, nawet jeśli ta dyskusja nie dotyczy poglądów, tez czy koncepcji prezentowanych przez przedstawicieli świata nauki, a nich samych, ich warsztatu, wiedzy czy umiejętności. Niestety, do tej drugiej konwencji przystaje tekst zaprezentowany przez Dariusza Kołodziejczyka, a poświęcony mojej skromnej osobie¹. Możliwe, że zostało to spowodowane tym, że Autor tego tekstu stara się, jak można wnosić, recenzować książkę mojego autorstwa, powstałą według niego w 2005 roku, czyli na rok przed jej ukończeniem i publikacją. To oczywiście może być tylko pomyłka, tzw. literówka, ale w kontekście tego, co odnajdujemy w jego tekście, zwłaszcza wręcz świętego oburzenia na odnalezione w moim tekście pomyłki redakcyjne², nie jest już kwestią, którą można pominąć. A według mnie jest tylko kolejnym elementem składającym się na absurdalność zaprezentowanego przez mojego Adwersarza tekstu.

Całość konstrukcji, którą nam zaprezentowano, jest zgodna z zasadą: najpierw teza, a później prawda, która do tej tezy pasuje. Jeśli zaś prawda do niej nie pasuje, to tym gorzej dla prawdy. Pan D. Kołodziejczyk przedstawia mnie jako kontrowersyjnego historyka piszącego książki „wzbudzające krytyczne recenzje”³. Smuci fakt wybiórczości tego opisu,

* Niniejsza dyskusja została opublikowana w formie, w jakiej została nadesłana do redakcji „Przeglądu Historycznego”, bez żadnych skrótów i poprawek językowych (przyp. red.).

¹ D. Kołodziejczyk, *Jak Kozacy państwo budowali, a Lachy historię im pisali* (Maciej Franz, *Idea państwa kozackiego na ziemiach ukraińskich w XVI–XVII*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2005, s. 476, mapy, ilustracje), [w:] PH, t. XCVIII, 2007, z. 4, s. 575–586.

² By zamknąć tę sprawę od razu i ostatecznie, za niestaranną redakcję i korektę czuję się osobiście winny, stąd drugie wydanie z 2007 roku, dziś już dostępne w księgarniach zostało poprawione i oczyszczone. Tych zaś z czytelników, którzy mieli kontakt z pierwszym, a w efekcie nie dość starannym wydaniem, przepraszam.

³ D. Kołodziejczyk, op. cit., s. 575. Nie będę odnosił się do tamtych recenzji, bo już dawno uznałem sprawę za zamkniętą, ale jeśli Pan D. Kołodziejczyk uważa recenzję J. Dąbrowskiego za miarodajną, to niestety mówi to o nim wszystko jako o poważnym znawcy historii wojskowości kozackiej. Mogę się jedynie smucić, że pomimo wielokrotnych obietnic, redakcja „Studiów Historycznych” do dziś nie odważyła się opublikować mojej odpowiedzi na tamten „tekst”. Zwykłym zaś nadużyciem są sformułowania przez Niego użyte w końcowym fragmencie przedstawionego tekstu, że mój doktorat został „bardzo negatywnie przyjęty — — przez recenzentów z kilku krajowych ośrodków badawczych”. Gdyby nie to, że jest to gigantyczne nadużycie i nadinterpretacja dwóch (w tym jednego bardzo słabego) tekstów. Oj, jak łatwo obrzucać błotem innych.

skoro bowiem uznał on za właściwe przypomnienie opinii o mojej poprzedniej dużej rozprawie poświęconej Kozaczyźnie⁴, to uczciwość nakazywałaby także wskazać na jak najbardziej pozytywną recenzję tej samej książki opublikowaną w roczniku Akademii Nauk Ukrainy⁵. Jej brak może dowodzić wybiórczości stosowanej argumentacji, to zaś budzi podejrzenia (według mnie pewność), że całości przyświecała odpowiednia teza ukazania mnie jako historyka posiadającego „braki warsztatowe, nieznającego bądź nieumiejącego korzystać ze źródeł i literatury, niezdolnego do logicznej argumentacji i popełniającego szkolne błędy faktograficzne, o nonszalanckim stosunku do innych badaczy oraz mentorskim tonie wywodu”⁶. Wszystko, co przeczyłoby tej tezie, nie powinno przecież zostać wskazane. Może być jednak inaczej. Otóż możliwe jest, że Autor tejże recenzji nie zna tamtej publikacji, a to już źle świadczy o jego kontakcie z dyskusją prowadzoną przez historyków nad dziejami Kozaków, które przecież nie stanowią w jego badaniach, w każdym razie jak dotychczas, żadnego istotnego elementu⁷. Podobnie trzeba zaznaczyć, że nie dostrzegł recenzji Wadyma Z a d u n a j s k i e g o, opublikowanej na Ukrainie pracy, która wzbudziła tyle w Nim kontrowersji⁸. No cóż, trudno.

Można by było nawet w tym miejscu odpowiedź na tekst Pana D. Kołodziejczyka zakończyć, uznając, że wszystko to, co napisał o mnie (bo przecież nie o mojej książce), niezależnie jak smutna byłaby to konstatacja, pozostaje wytworem Jego wyobraźni. Jednakże problem jest poważniejszy. Otóż ten Pan podważa moją wiarygodność w świecie nauki, do którego od kilkunastu lat należę, a który ostatnio, poprzez procedurę habilitacyjną (*notabene* w oparciu o omawianą książkę), nadał mi w nim pełne, samodzielne prawo wykonywania ukochanego zawodu⁹. W takiej sytuacji, używając języka nieco kolokwialnego, puszczanie płazem tego tekstu nie jest już możliwe.

W związku z tym, że Redakcja „Przeglądu Historycznego” (dalej „PH”) umieściła tekst Pana D. Kołodziejczyka w dziale „Dyskusje”, a nie „Recenzje”, postaram się podjąć tę dyskusję. Tyle tylko, że nie będę dyskutował o sobie, bowiem o moim warsztacie, jakości całości dorobku najwięcej mówi on sam, a zwłaszcza narastająca ilość cytowań moich prac przez historyków polskich i ukraińskich, tylko o książce, a zwłaszcza tezach i problemach

⁴ *Notabene* Pan D. Kołodziejczyk doskonale wie, o ile przeczytał moją książkę, którą stara się recenzować (mam spore wątpliwości, co dane mu było przeczytać), że jestem autorem kilkudziesięciu rozpraw, artykułów i szkiców poświęconych Kozaczyźnie Ukrainnej, czego niestety nie jestem w stanie w żaden sposób powiedzieć o nim samym. Możliwe, że właśnie to powoduje tak małe zrozumienie recenzowanego tekstu.

⁵ B. C z e r k a s, *Wijskowa sprawa ukraińskich kozaków oczyma polskiego historyka (Recenzja na „Wojskowość Kozaczyzny Zaporoskiej w XVI–XVII wieku. Geneza i charakter”* — Toruń 2002 — 255s., [w:] „Ukraina w Centralno–Schidnij Europi (z najdawniejszych czasów do końca XVIIIst.”, nr 4, Kyiw 2004, s. 509–513.

⁶ D. K o ł o d z i e j c z y k, op. cit., s. 586.

⁷ Pomimo blisko już 15 lat badań nad Kozaczną Ukrainą nie dostrzegłem znaczących opracowań odnoszących się do tej tematyki, które wyszłyby spod ręki Pana D. Kołodziejczyka, a którego dotąd odbierałem raczej jako pasjonata dziejów tureckich, tylko marginalnie odnoszących się do kwestii ukraińskich epoki nowożytnej.

⁸ W. Z ad u n a j s k i j, *Recenzja na monografię M. Franza „Idea kozacko derżawy na ukraińskich zemjach u XVI–XVIIst”* — *Tonuń, Wid-wo A. Marszałka 2006 — 476ń.* „Schid. Analityczno–informacyjny журнал” nr 3 (81), Donieck 2007, s. 103–104.

⁹ Warto podkreślić, że doczekałem się czterech pozytywnych recenzji swojej rozprawy habilitacyjnej (nazwisk recenzentów nie będę podawał, by nie być posądzanym, że bronię się czymś autorytetem, ale wszyscy to profesorowie o dużo większym dorobku naukowym i doświadczeniu niż mój Adwersarz i uznanej w świecie nauki pozycji), podobnie jak mojego dorobku naukowego i warsztatu. Przebieg zaś postępowania habilitacyjnego opartego o omawianą pracę, w żadnym momencie nie wskazał na nieuctwo, nieudolność i skandaliczne braki, jakie przypisuje mi Pan D. Kołodziejczyk. Ciekawe dlaczego?

przez nią podniesionych. Bo tylko to uważam za godne łam „PH”. Niestety, tu napotykam na kolejną poważną trudność. Otóż nie bardzo mam o czym z Panem D. Kołodziejczykiem dyskutować, bowiem tezy, podjęte przeze mnie problemy czy pytania badawcze, nie interesowały mojego Adwersarza, a nawet można uznać, że znalazły się poza zakresem jego rozważań. Pan D. Kołodziejczyk wyszedł od konstatacji, że tym razem odszedłem od historii wojskowości, wchodząc na nowe pola badawcze (jak można zrozumieć, mniej dla mnie dostępne), która to myśl pozostaje efektem gruntownego niezrozumienia mojego tekstu¹⁰. Nie wiem, co jest dla mojego Adwersarza historią wojskowości, ale jeśli pod tym pojęciem rozumie opis działań 2 plutonu 3 pułku 8 dywizji piechoty na rozciągniętym froncie wobec przeważających liczebnie sił wroga, to spieszę donieść, że takie widzenie mojej dyscypliny jest mi obce. Oczywiście, że moja monografia dotyczy kwestii państwowotwórczych, tożsamościowych, tak samo jak dotyczy problemów gospodarczych, ideologicznych, kulturalnych, których badanie jest normą dla nowoczesnego historyka wojskowości¹¹. Niezrozumienie tej kwestii kładzie się cieniem na cały wywód D. Kołodziejczyka. Jednakże nie czuję się tu w najmniejszym stopniu winny, nie wszyscy wszystko muszą zrozumieć. By jednak nie było wątpliwości: monografia, która spotkała się z tak totalną krytyką, nie tylko mieści się, ale na pewno należy do nurtu historii wojskowości. Tworzenie bowiem państwa wojennego (państwo kozackie) w oparciu o idee powstała w społeczności militarnej (Kozacyzna Ukrainna) na drodze wojennej (powstania i wojny z Polską) jak najbardziej jest historią wojskowości.

Zarzucono mi „niemal zupełne ignorowanie archiwów i bibliotek ukraińskich”¹². Nie wiem, skąd mój szanowny Adwersarz wie, w ilu bibliotekach byłem, z ilu zbiorów korzystałem? Był, sprawdzał, czy też wykonały to jakieś nieznane nam siły specjalne? W żadnej dotychczas wydanej rozprawie nie znalazłem bogatszego zbioru prac ukraińskich (do skandalicznego zarzutu, że coś jest w mojej bibliografii, a ja z tego nie skorzystałem, jeszcze powrócę), może więc czytamy różne książki. Nie mam o to pretensji, zdarza się. Co do archiwaliów, to proszę wybaczyć, ale jako Autor sam oceniam, czy coś mi jest przydatne, czy nie. Oczywiście, można mieć inne zdanie, ale zamiast radykalnych słów krytyki wolałbym, by Pan D. Kołodziejczyk podjął własne prace nad dziejami Kozacyzny Ukrainnej, a wtedy może pojawi się między nami jakiegokolwiek pole do dyskusji merytorycznej o tym, czy jakieś ważne zbiory odnoszące się do kwestii idei państwa kozackiego zostały przeze mnie pominięte. Do tego czasu jego opinie w tym względzie brzmią dla mnie nie tylko mało wiarygodnie, ale kompletnie nieelegancko.

Opinia D. Kołodziejczyka odnosząca się do zakresu korzystania ze zgromadzonej bazy źródłowej jest nie tyle nieprawdziwa, co po prostu jest kłamstwem¹³. Ilość cytowań materiału źródłowego jest w omawianej monografii ogromna (około 900 cytowań źródeł i literatury przedmiotu, nie licząc oczywiście wstępu, z tego, jak sądzę, blisko połowa to odwołania do źródeł). Jednak to nie jest tu ważne, bo na opinii D. Kołodziejczyka w tym względzie mi nie zależy. Istotne jest to, że sugeruje On w skandaliczny sposób, jakoby moje opracowanie pozbawione było badań źródłowych, a umieszczony tam materiał tworzył

¹⁰ D. Kołodziejczyk, op. cit., s. 575.

¹¹ Zainteresowanych, w tym szanownego Adwersarza, odsyłam tu do prac Benona Miśkiewicza, nie mając miejsca na analizowanie tak fundamentalnie podstawowych kwestii w tym tekście.

¹² D. Kołodziejczyk, op. cit., s. 575.

¹³ Ibidem, s. 576.

jedynie sztuczną przestrzeń w bibliografii. Innymi słowy sugeruje, że jako Autor jestem krętaczem naciągającym czytelników mojej książki. Mam nadzieję, że Pan D. Kołodziejczyk umie to udowodnić. Opluć czyjs honor jest łatwo, nie ponosi się żadnych konsekwencji. Pan D. Kołodziejczyk może napisać co chce, kłamać jednak nie powinien, a sugerować oszczerczo nieprawdy nieuchodzi. Niestety, ten styl Jego wypowiedzi, niepopartych niczym oszczerstw, charakteryzuje cały tekst. Można to dostrzec choćby w następnym akapicie, gdzie łaskawie był gotów donieść, że „konieczna byłaby w tej pracy pogłębiona refleksja metodologiczna dotycząca choćby takich kwestii, jak wczesnonowożytna koncepcja państwa, tożsamości kozackiej, etc. Jednak niczego takiego nie znajdziemy w książce M. F.”¹⁴ Jak się domyślam, Autor tych słów drogę takiej refleksji przeszedł i doczekał się wniosku w swoich licznych publikacjach o Kozaczyźnie (żał, że nie są one powszechnie znane), że w jej łonie trwały rozważania nad nowożytną koncepcją państwa, najlepiej wojennego (czego D. Kołodziejczyk nie zdołał dostrzec), czy też tożsamości kozackiej. To już w ogóle jakaś przedziwna konstrukcja, której nie był On nam łaskaw wyjaśnić — czyżby ta tożsamość była narodowa? Piszę w swojej książce, że takowej być nie mogło (wystarczy umieć czytać ze zrozumieniem), może więc społeczna, niestety także niemożliwa, czemu poświęciłem spory fragment rozważań, czy też polityczna, o której jest cały podrozdział, który najwyraźniej także umknął Jego uwadze. Otóż mój Adwersarz nie potrafi dostrzec (czyżby efekt braku własnych wieloletnich badań nad Kozaczną), że moja monografia nie dotyczy kwestii teoretycznych, tylko praktyki dziejowej. Przetawia badania z teoretyzowania o Kozaczyźnie (nie mają żadnego sensu), na praktykę, cele i ich realizację. Próba odczytania kwestii ideowych, które nie odbiły się w źródłach epoki, na podstawie działań podejmowanych decyzji było tu założeniem badawczym. Rozumiem, że Panu D. Kołodziejczykowi trzeba to napisać wyraźnie, inaczej uzna, iż tego nie ma. Jaki sens mają rozważania nad traktatami teoretycznymi o państwie pochodzącymi z XVI–XVII wieku w odniesieniu do Kozacznicy? Czyżby Kozacy je czytali lub znali? A może polscy i litewscy magnaci (otoczenie króla) w stosunkach z nimi do tych traktatów się odwoływali lub się na nich opierali, prowadząc kolejne rokowania? Pan D. Kołodziejczyk jest w swoim oczekiwaniu nie tylko naiwny, ale wyraźnie wskazuje swoją złą wolę. Jakby tego było mało, ten irracjonalny zarzut podbudowuje „niewiarygodnym” wręcz (mój wtęgi) „nie odniesieniem do znakomitej monografii Franka S y s y n a”¹⁵. Jak rozumiem Sysyn to ważne wsparcie dla Grocjusza i innych traktatów teoretycznych XVI–XVII-wiecznych. Brawo! Praca F. Sysyna, na którą zwrócono mi uwagę w jednej z recenzji habilitacyjnych, faktycznie umknęła mojej uwadze. Dziś, po jej lekturze, żałuję, że się do niej nie odniosłem. Jednocześnie nie zauważyłem w niej żadnych kwestii podnoszonych przez jej Autora, które miałyby mnie zmusić do zasadniczej zmiany postawionych przeze mnie tez badawczych (warto zasygnalizować, że Pan D. Kołodziejczyk w żadnym fragmencie swojego tekstu się do nich nie odniósł), czy też ostatecznych ustaleń i wniosków (dla Pana D. Kołodziejczyka także one pozostały *terra incognita*). Nie wiem też, jakie znaczenie dla procesu rodzenia się idei autonomii kozackiej w pierwszej połowie XVII wieku ma postać Jerzego Niemiryca i co miałoby uzasadniać poświęcenie mu jeszcze większej uwagi. Bo przecież o jego roli przy okazji powstawania unii hadziackiej przeczytać można, trzeba tylko chcieć, ale o dobrą wolę mojego Adwersarza posądzać nie mogę. Naiwność nie jest jedną z moich cech. Cie-

¹⁴ Ibidem.

¹⁵ Ibidem.

sze się, że jednak uznał się D. Kołodziejczyk za godnego odegrania roli trybunału reprezentującego ogół „polskich historyków”, wobec których miałem zastosować opinie „fałszywe i krzywdzące”. Tych wszystkich, którzy dali mu taki mandat, bardzo przepraszam. Wolałbym jednak, by Ci wszyscy badacze, którzy są tak strasznie pomówieni przeze mnie i w imieniu których Pan D. Kołodziejczyk był łaskaw wystąpić, podjęli wreszcie jakieś badania nad kwestiami państwa kozackiego na ziemiach ukraińskich w XVI–XVII wieku, bo jak na razie, to jedynie „cicho wszędzie, głucho wszędzie” w odniesieniu do tej kwestii na polu polskiej historiografii (przy okazji gratulacje dla D. Kołodziejczyka za wprowadzenie pojęcia „plemienności” podziału historiografii — warto, by się nad tym zastanowił, nad tym, o czym pisze, także), co swojemu Adwersarzowi też polecam na przyszłość¹⁶.

Zarzut niewielkiego wykorzystania literatury jest poza granicami jakiegokolwiek polemiki, pozostaje jedynie (proszę mi wybaczyć za sformułowanie) dowodem arogancji Pana D. Kołodziejczyka, by nie użyć tu słów grubszych. Podobnie jak problem jego wrażeń (szkoda, że nie zostały one prywatnym problemem D. Kołodziejczyka), które odnoszą się do statusu moich zdolności zrozumienia czytanego tekstu (o jego własnych, odnoszących się do mojego tekstu, sygnalizowałem powyżej). Gorzej, że w podobny sposób odczytuje On także inne prace, co skłoniło Go do sformułowania choćby zarzutu, że powołując się na pracę Andrzeja Dziubińskiego „niedopuszczalnie i nieetycznie przypisuje mu poglądy, których nie głosi”¹⁷. Ze względu na ogromny szacunek do wspomnianego powyżej historyka, przejąłem się swoim „przestępstwem” i nie omieszkałem natychmiast sprawdzić, jak mogło dojść do takiej sytuacji. Okazało się jednak, że powołałem się oto na taki fragment: „Do napadów [na tereny tatarskie — przyp. mój] nie używano zaciężnych z obrony potocznej pozostających na żołdzie państwowym, lecz tworzone prywatne hufce złożone ze »służebników« — Kozaków, Czeremisów i innych. Genezy tych inicjatyw szukać można, jak się wydaje, w pierwotnym zamyśle, którego autorem był Jan Tarnowski, aby wysunąć w głąb stepu, z dala od siedzib ludzkich, czaty obserwujące ruchy Tatarów, a także prowadzić prewencyjne napady na terytorium wroga”¹⁸. Ten fragment pozwolił mi na wsparcie mojej tezy o aktywności polskich czynników na pograniczu tatarskim oraz postrzeganiu takich działań jako próby wytrącenia Tatarom inicjatywy na tym terenie. Pozwolił także na uwagę, że taka polityka Jana Tarnowskiego nie mogła dokonywać się bez akceptacji ze strony dworu. No cóż, nadal tak twierdzę i nadal uważam, że nie popełniłem nadużycia, powołując się na ten fragment rozważań A. Dziubińskiego. Ja, w odróżnieniu od D. Kołodziejczyka, nie wierzę w cuda, nie czytam książek jak podróży Guliwera¹⁹ i uważam, że polski dwór, zwłaszcza za czasów ostatnich Jagiellonów, miał nadal sporą władzę i bez jego, choćby milczącej, akceptacji tak szeroko prowadzona aktywność militarna na

¹⁶ Sporą część tych wymienionych z nazwiska polskich historyków (tych niewymienionych też), a żyjących współcześnie, znam osobiście (Pana D. Kołodziejczyka zaś nie!), spotykając się na konferencjach naukowych w kraju i za granicą od wielu lat i nie przypominam sobie, by czuli się w jakiś sposób przeze mnie postponowani, ani przed wydaniem tej pozycji, ani tym bardziej po jej ukazaniu. Ci najwybitniejsi z nich za tę pracę wręcz mnie chwalili. Mam jakieś nieodparte wrażenie, że D. Kołodziejczyk jest samozwańczym trybunem i to niekoniecznie ku zadowoleniu tych, których chce bronić.

¹⁷ D. Kołodziejczyk, op. cit., s. 577.

¹⁸ A. Dziubiński, *Stosunki dyplomatyczne polsko-tureckie w latach 1500–1572 w kontekście międzynarodowym*, Wrocław 2005, s. 171.

¹⁹ D. Kołodziejczyk, op. cit., s. 578.

pograniczu, dodatkowo narażająca państwo na ewentualność konfliktów zbrojnych, nie mogła się dokonywać. Imputowanie Zygmuntowi I Staremu czy też jego synowi, że nie interesowali się sprawami kraju i wynosili do najwyższych godności swoich przeciwników politycznych prowadzących wrogą dworowi, a miłą obcym politykę, pozostawiam innym. Podobnie trudno mi zrozumieć zarzuty skierowane w moją stronę, jakoby Rosja cara Aleksego Michajłowicza Romanowa nie była państwem absolutnym, z faktycznie nieograniczoną władzą monarchy²⁰. Oczywiście jest (jak się okazuje nie dla wszystkich), że czasy cara Aleksego to początek budowy takiego państwa po okresie kryzysu Wielkiej Smuty, kontynuowanego później przez Piotra I czy Katarzynę II. Tylko że ja na wzmiankowanej stronie swojej książki (s. 317) porównywałem Rosję Aleksego z państwem polsko-litewskim, wskazując na nierealność marzeń Chmielnickiego o budowie u boku Rosji państwa kozackiego. Jeśli Pan D. Kołodziejczyk twierdzi, że polski monarcha miał taki sam zakres władzy w 1654 roku jak car, jego pozycja w państwie była porównywalna, możliwości stanowienia prawa, a zwłaszcza jego egzekwowania takie same, to ja przepraszam, ale naprawdę żyjemy w różnym świecie poznania. Otóż można wszystko odczytać na opak i złośliwie, powyrywać z kontekstu, w jakim dana opinia została zaprezentowana, by oburzeniem grzmieć o rażących błędach, tylko po co? Podobnych przypadków w tekście D. Kołodziejczyka jest więcej, pochylanie się nad każdym jest ponad moją dobrą wolę, a jak sądzę także cierpliwość czytelników teje polemiki.

W podobny sposób można skomentować jego święte oburzenie nad absolutnym brakiem logiki w mojej pracy, choćby w odniesieniu do fundamentalnej kwestii państwa kozackiego²¹. Otóż zdołał On powyrywać z mojego tekstu pojedyncze zdania, z bardzo różnych stron, wplótł je we fragment recenzji mojego Mistrza i zestawił, próbując udowodnić, że nie wiem, o czym piszę. Otóż w związku z tym, że dla jakiejś części czytelników, jak wierzę niewielkiej, okazuje się, że ten tekst był zbyt trudny, to doprecyzuję raz jeszcze. Idea państwa kozackiego rodziła się w pierwszej połowie XVII wieku, w okresie działalności hetmana kozackiego Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego (arogancją uwagę o mojej laurce dla niego jako skwitowanie 10 lat badań pominię, bo musiałbym użyć słów powszechnie uznanych za obraźliwe), a kontynuowana była przez metropolitę Piotra Mohyłę²². Ta idea miała trzy próby realizacji, urzeczywistnienia jak kto woli, w drugiej połowie XVII wieku. Pierwszą — w ramach autonomii Bohdana Chmielnickiego, drugą — za Jana Wyhowskiego przy okazji unii hadziackiej i trzecią — za Piotra Doroszenki. Pana D. Kołodziejczyka oburzył fakt, że choć twierdzę, że takowego państwa nie było (bo nie było!), to śmiałem zatytułować rozdział *Bohdan Chmielnicki i jego państwo kozackie*. Wyróżnienie jest moje, może ono uświadomi Krytykantowi, gdzie leży sedno problemu? Autonomia kozacka była państwem powstałym w ramach Rzeczypospolitej, z jej łaski, formalnie przez nikogo nie uznanym, choć istniejącym jako twór materialny. Czy to jest takie trudne by zrozumieć? Czy taka gra niuansów słownych jest ponad możliwości Pana Kołodziejczyka? Czy w związku z tym nie rozumie On, że państwa czeczeńskiego dziś też nie ma, nigdy nie było, bo nikt go nie uznał? Pomimo tego, że taki twór faktycznie istniał, a Rosjanie podpisywali w lipcu 1996 roku z Aslanem Maschadowem porozumienie, tolerując obcy twór,

²⁰ Ibidem.

²¹ Pan D. Kołodziejczyk poświęcił temu cały akapit, w którym przy okazji zasugerował, że mój Mistrz nie wie i nie rozumie, co czyta, do czego też jeszcze powrócę, ibidem, s. 580.

²² Ibidem, s. 582–583.

swoistą autonomię w ramach swojego państwa, nigdy nikt nie twierdził, że ono istniało²³! Czyżbym odkrywał kolejne, nowe lądy przed D. Kołodziejczykiem? Z państwem kozackim B. Chmielnickiego było tak samo. Ile trzeba złej woli, by tego nie dostrzec? Udać, że się nie widzi i poświęcić czas na budowę jakiś chorendalnych konstrukcji intelektualnych, po co to? I jaki to ma związek z jakością dyskursu historycznego, którego mój Adwersarz się domaga od innych? Ile trzeba złej woli, by napisać, że każę Kozakom mówić w esperanto lub porozumiewać się przez pomruki? To jest poziom dyskusji oczekiwany przez Pana D. Kołodziejczyka? Sprowadzenie wszystkiego do absurdu i wyśmianie? Tylko tyle On umie zaprezentować, przeinaczone moje myśli? Naprawdę nie rozumie, że Kozacy w XVI wieku byli społecznością różną etnicznie, kulturowo, religijnie i wpychanie ich w schemat Rusin–Prawosławny jest żalonym uproszczeniem. Tak mało w Nim refleksji, że proces wrastania tej społeczności w lud ruski, ukraiński, musiał trwać i to długo, nim zdecydowano się ich uznać za swoich. Bo przecież kiedy wystąpili w obronie wiary prawosławnej, czyniąc się samozwańczo obrońcami ludu ukraińskiego, religijni najprawdopodobniej nie byli. Wtedy zasadniczą rolę grała polityka, interesy grupy, społeczności, a religia była tylko pretekstem do poszerzenia pola sporu z Rzeczypospolitą. To tak trudno pojąć? Podobnie zresztą jak to, że musieli mówić w różnych językach i fakt wrastania w mowę ruską, ale i polską *notabene*, musiał trwać. To jest takie trudne do zrozumienia? I po co ta zła wola? Jaki sens ma dyskusja, jeśli druga strona postępuje w ten sposób? Tak się pisze naukowe recenzje (*notabene* Redakcja „PH” chyba też miała wątpliwości skoro tekst trafił do „Dyskusji” a nie „Recenzji”, choć jak sądzę takową miała być)?

Trudno także zrozumieć, dlaczego Pan D. Kołodziejczyk odrzuca specyficzność organizacji Kozaczyzny Ukrainnej²⁴. Argumentem, na który się powołuje, są Kozacy Dońscy, których poza nazwą i krótkimi okresami współpracy ze społecznością powstałą na ziemiach ukraińskich nic nie łączyło. Nie rozumiem także, dlaczego błędnym miałyby być sformułowana przez mnie opinia, że społeczność dońska rozwinęła się (a nie powstała i istniała!) szczególnie w okresie Wielkiej Smuty, wykorzystując osłabienie władzy carskiej w Rosji. Niestety, takie są efekty, kiedy czytamy to, co chcemy przeczytać, a nie to, co jest napisane. Abstrahując jednak od tego, zastanawia więc fakt — skoro nie mam racji, dlaczego z tego typu pogranicznymi społecznościami nie spotykamy się we Francji, na ziemiach niemieckich czy w Szwecji? Jak to jest, że w obliczu silnej władzy centralnej takich społeczności nie ma lub są bardzo słabe, a swój rozwój związują z jej słabością, w Polsce permanentną i postępującą, a w Rosji chwilową. Czyżbym odkrywał nowe światy przed swoim Adwersarzem i porywał go w kolejną Jego zdaniem „fantastyczną” podróż?

Czasami tekst Pana D. Kołodziejczyka pozostaje rozbijającą naiwny. Mojemu Adwersarzowi wydaje się nielogicznym, a w efekcie tego niemożliwym, by Lwów był zarazem perłą w koronie ziem ukraińskich i przedmurzem Polski. Gdańsk to też polska perła i też jej przedmurze, choć po drugiej stronie kraju. Tak bywa. Podobnie zresztą jak Rzeczypospolitą Obojga Narodów nazywa się państwem polsko–litewskim, a częściej nawet (choć jest to mocne uproszczenie) państwem polskim. Takie uproszczenia odnajdujemy

²³ Przypomnę tylko, że w wyniku tego porozumienia odbyły się wolne i niesterowane z Moskwy wybory w Czechenii, w wyniku których prezydentem swojego państwa Czechenicy wybrali Asłana Maschadowa, a w konsekwencji oddali funkcję premiera w ręce Szamila Basajewa, uznawanego w Rosji za terrorystę. Czy z tego powodu możemy uznać, że istniało państwo czecheńskie? Na jakiej podstawie?

²⁴ D. Kołodziejczyk, op. cit., s. 579.

w pracach historyków nagminnie, jak rozumiem mojemu Adwersarzowi zależy, by pisać „szlachta zamieszkująca ziemie polskie” lub „chłopstwo ziem polskich” jako bardziej prawidłowe. Może faktycznie ma rację, ale, jak sądzę, większość czytelników doskonale wie, że właśnie tak pojęcie „szlachta polska” czy też „chłopi polscy” należy w odniesieniu do epoki nowożytnej odczytywać. Nie ukrywam, że jestem trochę zdziwiony, iż ten problem dał asumpt do całego akapitu rozważań nad brakiem logiki wewnętrznej, nawet nie mojego tekstu, tylko mnie jako autora. Czemu się dziwić, jeśli Pan D. Kołodziejczyk raz chłosta mnie za nadmierną oryginalność tekstu, zarzucając mi pokrętnie pisarstwo, a z drugiej strony, kiedy staram się trzymać głównego, obowiązującego nurtu historiografii, to znowu czytam, że preferuję „poglądy niezbyt oryginalne”²⁵. I tak źle i tak nie dobrze.

Są jednak kwestie ważniejsze podniesione przez Pana D. Kołodziejczyka. Otóż uznał mnie za historyka uprawiającego historiografię etniczną, wyraźnie piętnując mnie za takowe działania. Właściwie dobrze, że nie zostałem obdarzony pojęciem nacjonalisty, bo chyba nie było daleko. Otóż w odróżnieniu od Pana D. Kołodziejczyka, ja dostrzegam zasadniczą różnicę pomiędzy historiografią powstającą w Polsce, na Ukrainie, w Kanadzie czy w Australii. Otóż badacze z tych różnych kręgów kulturowych, często religijnych, a na pewno społecznych, wzrastający w różnych środowiskach, różnych systemach wartości, tradycjach rodzinnych, państwowych (czy jak to woli mój Adwersarz — plemiennych) mają różną wiedzę pozaźródłową, inną optykę spojrzenia, inną wrażliwość i inne podejście do badanych kwestii. Jak się tego nie rozumie, to o czym ja mam dyskutować? Przecież to fundament. Właśnie różnorodność spojrzeń nas wzbogaca. Naprawdę Pan D. Kołodziejczyk tego nie wie, czy tylko udaje, by błysnąć jeszcze jednym ciekawym określeniem, które ma mnie pograć? Wyrastamy w różnych społecznościach, dorastamy w różnych tradycjach, nawet dziś, w ramach tzw. globalnej wioski, jaką staje się świat, dobieramy takie wiadomości, jakie chcemy, jakie uznajemy za cenne. Mamy różne sposoby spojrzenia na kwestie fundamentalne, jak kara śmierci, legalność aborcji, eutanazji, itd. Czy w efekcie tego nie mamy różnego punktu spojrzenia, wychowując się w środku Europy, z jej doświadczeniami i na kontynencie amerykańskim, bez tych doświadczeń? W kraju totalitarnym, jakim był Związek Radziecki i poza jego strefą? Czy to tak trudno pojąć? I co to ma wspólnego z plemiennością? To nie zarzut wobec mnie formułowany, ale dowód jakiejś przedziwnej aberracji umysłowej, której pojąć nie potrafię.

Warto tu powrócić na chwilę do zarzutu, że moja praca w ogóle nie jest oparta na literaturze przedmiotu. Właściwie nawet nie wiem, co mam napisać. Jest to taka sama prawda jak sformułowanie, że pod Piławcami w 1648 roku nie było pospolitego ruszenia, albo że niezdobycie Lwowa (bronionego przez garstkę szlachty i mieszczan przed wielotysięczną armią kozacko-tatarską) nie było klęską²⁶. W tej sytuacji zapytuję, czym było? Jak pozwałam sobie sądzić, podobne opinie preferuje większość licznych już czytelników mojej książki, a Panu D. Kołodziejczykowi mogę jedynie jeszcze zasugerować, by nienawiść nie przesłaniała mu faktów. Zastanawiam się, jak jakikolwiek poważny historyk może sformułować taki zarzut i nie wiem. Bo to nie może być już tylko zła wola, a nazwanie tego kłamstwem nie rozwiązuje problemu. Pozostaje bowiem kwestia odpowiedzialności za swoje słowa, jej braku i lekceważenia czyjegoś wysiłku badawczego, naukowego. Pan D. Kołodziejczyk z lubością rozdaje razy, za rzekome postponowanie rzeszy polskich i ukraińskich

²⁵ Ibidem, s. 580.

²⁶ Ibidem, s. 584.

historyków, z czym całkowicie się nie zgadzam. Sam stawia się w roli wszechwiedzącego mentora, proszę mi wybaczyć, mając ku temu dość mierne podstawy. To zaś trzeba uznać za świadectwo, które sam sobie wystawia.

Autor tekstu, który stał się przyczyną tej odpowiedzi, wielokrotnie wykazał się rozbijającym niezrozumieniem tego, co czyta. Nie potrafi pojąć, jakie to koncepcje kształtowania się Kozaczyzny Ukrainnej odrzucam w swojej pracy, choć pisze „prezentowany w tym fragmencie rozprawy proces rodzenia się Kozaczyzny ukraińskiej należy traktować jako nowy głos w dyskusji historycznej w odniesieniu do tej problematyki przy jednoczesnym **całkowitym odrzuceniu dotychczasowych koncepcji**”²⁷ (wyróżnienie moje). Zaprezentowany powyżej fragment okrasza złośliwością, że „autor nie poinstruował wystarczająco jasno, jakie poglądy odrzuca”²⁸. Teraz, kiedy to podkreśliłem, jest to dla Pana D. Kołodziejczyka wystarczająco zrozumiałe, czy też nadal będzie udawał, że nic nie rozumie? Gorzej, że dalej kłamie, pisząc „co w głoszonej przez niego zbitce dawno znanych argumentów należy uznać za nowe”²⁹. Jeśli Pan D. Kołodziejczyk w jakiegokolwiek dotychczas opublikowanej pracy odnajdzie jako drogę budowy Kozaczyzny na ziemiach ukraińskich państwa polsko–litewskiego koncepcję, że był to efekt działalności polskich i litewskich starostów ukraińskich, którym powierzono obronę granicy, dając ogromną swobodę co do sposobów realizacji tego zadania, a którzy zdecydowali się na aktywną obronę, wzbudzającą życie wojskowe na tych ziemiach, inspirującą aktywność militarną. A jednocześnie efektem tych wszystkich działań było wykształcenie się grupy społecznej, dla której życie wojskowe było naturalne i to życie poza granicami prawnymi państwa, to gratuluję. Tylko pytam — w której to z nich takowa koncepcja się przewija i jaki sens mają takie kłamstwa? Naprawdę wierzy on w to, że jakiś niewyrobitony czytelnik oprze się tylko na jego recenzji i do mojej książki nie zajrzy?

Autor tego niewiarygodnego w swej konstrukcji tekstu przetacza się przez kolejne rozdziały mojej książki, kwitując je sformułowaniami „zbiór komunałów — — kuriozalne stwierdzenia — — charakterystyczna nonszalancja — — zarzut absurdalny — — powszechnie znane fakty na podstawie literatury popularno–naukowej i popularnej — — karkołomność argumentacji autora — — wprost skandaliczny — — niechęć autora do sięgania do źródeł”, itd.³⁰ No cóż, wobec tak przytłaczającej argumentacji, niezwykle rozbudowanego i obiektywnego dyskursu naukowego, niezwykle szacunku dla dokonań innych, a zwłaszcza pokory wobec wiedzy i umiejętności własnych, ja pozostaję bezbronny. Najbardziej rozbawił mnie argument, że jestem propagandzistą prawie na usługach dworu carskiego, bowiem śmiałem napisać, że powstanie B. Chmielnickiego było krwawą wojną domową, wywołaną przeciwko prawnemu właścicielowi tychże ziem, czyli Rzeczypospolitej³¹. Mam śmiałość, i co gorsze, mam dla swego Adwersarza jeszcze jedną wiadomość: czego by o mnie nie napisał, pozostanę na stanowisku, że mam w tej sprawie (w innych zasadniczo też) rację!

Chcę zadeklarować, że wszelkie uwagi odnoszące się do pomyłek czy też uchybień językowych bądź niedbałości korekty biorę sobie głęboko do serca. Przykro mi, że takowe

²⁷ Ibidem, s. 586.

²⁸ Ibidem.

²⁹ Ibidem.

³⁰ Ibidem, s. 582–585.

³¹ Ibidem, s. 584.

występują. Okazuje się, że pośpiech, który wkrađł się w końcowej fazie powstawania tej książki, nie przysłużył się jej. Postaram się takowych wypadków przy pracy unikać w przyszłości. Co nie zmienia jednak mojej zasadniczej oceny wystąpienia mojego Adwersarza.

Można się więc na koniec zastanowić, po co powstał tekst pana D. Kołodziejczyka, bo przecież nie po to, by dać czytelnikom obiektywną recenzję, czy też stać się impulsem dla dyskusji naukowej nad ideą państwa kozackiego w XVI–XVII wieku. Z ogromnego oburzenia, wręcz histerycznych reakcji i bardzo agresywnych opinii, zostały więc nam zarzuty o literówkę, niestaranną transkrypcję, brak kilku prac (w i tak gigantycznej bazie źródłowo–literaturowej). Niewiele jak na prawie sformułowane żądanie zakazania mi publikowania kolejnych książek. Tyle zostało, głównie dlatego, że mój Adwersarz nie miał zamiaru zrozumieć czytanego tekstu, nie chciał w żaden sposób uznać, że może się mylić. Trudno, Jego prawo. Mogę więc sparafrazować końcowy fragment jego wystąpienia. Może jego własny tekst stanie się dla niego dostatecznie jasny i przejrzysty. Recenzja (lub głos w dyskusji) Dariusza Kołodziejczyka ukazała się w szacie wystąpienia naukowego, Autor zaś jest profesorem akademickim jednego z lepszych polskich uniwersytetów. Fakt ten wydaje się być wysoce zatrważający, gdyż mówi coś o kondycji rodzimego środowiska naukowego, choć — chciałbym wierzyć — nie o poziomie polskiej historiografii. Nic dodać, nic ująć.

* * *

Absolutnie na koniec jeszcze jedna uwaga, o której wyraźne oddzielenie od reszty tekstu Redakcję „PH” bardzo proszę. Pan Dariusz Kołodziejczyk śmiał zaczepić mojego Mistrza, jednego z najwybitniejszych żyjących polskich historyków wojskowości, profesora Karola O l e j n i k a, zarzucając mu, że nie wie i nie rozumie, co czyta, że napisał kłamstwa o mojej książce w recenzji wydawniczej, bo nie zrozumiał recenzowanego tekstu. Otóż, by było jasne, Pan Kołodziejczyk może o mnie pisać co chce, jestem ponad to. Moja pozycja w środowisku naukowym jest trwała i jak wierzę zasłużona. Obrzucanie mnie błotem i kłamstwami obróci się tylko przeciwko Autorowi takich czynów. Jednak od mojego Mistrza pióro Mój Panie, zwłaszcza zanurzone w błocie, proszę trzymać z daleka. Jak Pana dorobek naukowy, erudycja i osiągnięcia kiedykolwiek choć zbliżą się do tego, jakie prezentuje mój Mistrz, to wtedy może Pan zrozumie, co się godzi, a czego się nie godzi pisać. *Notabene* w ten sam sposób potraktował Pan kilkunastu polskich historyków, o wielokrotnie większym i bogatszym dorobku naukowym, którzy na różnych etapach oceniali i recenzowali tę książkę. Wszyscy się mylili, a tylko Pan, jak Katon Starszy, miał rację — „A poza tym sądzę, że Franza należy zniszczyć!”